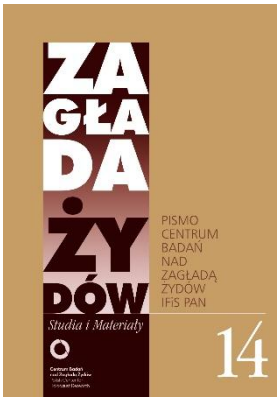

Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 14 (2018)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

Każdy z nas potrzebuje czasu, czyli rzecz nie tylko o Janie Tomaszu Grossie

Everybody Needs Time or Not Only About Jan Tomasz Gross

Stanisław Obirek
Uniwersytet Warszawski, Ośrodek Studiów Amerykańskich

s.obirek@uw.edu.pl
ORCID: https://orcid.org/0000-0002-8164-2683

DOI: https://doi.org/10.32927/ZZSiM.98
Strony/Pages: 512-520

CC BY

OPEN ACCESS

Stanisław Obirek

Uniwersytet Warszawski, Ośrodek Studiów Amerykańskich
orcid.org/0000-0002-8164-2683
s.obirek@uw.edu.pl

Każdy z nas potrzebuje czasu, czyli rzecz nie tylko o Janie Tomaszu Grossie

Jako motto poniższych rozważań potraktowałbym zdanie wypowiedziane przez Jana Tomasza Grossa pod koniec długiej rozmowy z Aleksandrą Pawlicką[1]: „Skąd ta różnica postrzegania między nimi, zastanawiam się i nie umiem na to pytanie odpowiedzieć", kiedy próbował dociec, dlaczego z najbliższymi mu ludźmi dzieli go tak wiele, a z innymi, których poznał przelotnie, tak wiele go łączy. Tymi pierwszymi są Adam Michnik i Aleksander Smolar, do tych drugich zalicza Józefa Czapskiego i… księdza Stanisława Musiała. Opuszczając Polskę w 1968 r., Gross napisał do Józefa Czapskiego list, w którym pytał jak żyć. Odpowiedzi doczekał się po latach. Mocno starszy Czapski (ur. 1896) nie szczędził młodszemu koledze, który pisywał na drogie jego sercu tematy (losy Polaków w Rosji sowieckiej), komplementów wcale nie zdawkowych. Owszem odnajdywał w pracach Grossa to, co zawsze było mu najdroższe – odwagę mówienia prawdy. Nawet wtedy, gdy była dla najbliższych niewygodna. W przypadku Staszka Musiała może należałoby powiedzieć, że to raczej jezuita znalazł w autorze bezkompromisowych tekstów, nie tylko na temat polskiego antysemityzmu, bratnią duszę. Ilustracją tego duchowego pobratymstwa jest fragment przywołanego listu od Musiała, który ksiądz napisał po lekturze *Upiornej dekady*: „Proszę mi wybaczyć śmiałość mego stwierdzenia – odkrywam w Panu Profesorze bratnią duszę, podobną wrażliwość serca – objawiającą się tą samą zdolnością do wzruszania się. Myślę, że ta zdolność «humanizuje» człowieka, nie pozwala mu robić innym krzywdy. Tak mi się wydaje. Chyba wtedy świat byłby lepszy" (s. 200). Nawiasem mówiąc, przywoływane listy, nie tylko zresztą od Czapskiego i Musiała, stanowią istotne dopełnienie wypowiedzi samego Grossa, pozwalają bowiem zobaczyć jego życie, a zwłaszcza jego twórczość, w szerszym kontekście. Uzmysławiają nade wszystko fakt, że inwektywy, oszczerstwa i brak zrozumienia, z jakimi się

[1] Jan Tomasz Gross, Aleksandra Pawlicka, *…bardzo dawno temu, mniej więcej w zeszły piątek…*, Warszawa: Grupa Wydawnicza Foksal, W.A.B., 2018, 300 s. Przy cytatach z tej książki podaję w nawiasach numery stron.

spotyka w przestrzeni publicznej w Polsce, to tylko krzykliwy i dokuczliwy niewątpliwie, ale jednak margines, który dla niego samego chyba nie ma większego znaczenia. Chyba że spotyka go to ze strony przyjaciół. Pewnie dlatego, nieco zrezygnowany dopowiada słowa przywołane jako motto: „Więc w końcu jest, jak jest – myślę sobie, nic na to nie poradzę i tak jak każdy człowiek mogę jedynie dalej robić swoje" (s. 200). A sprawa, dodajmy, jest istotna, bo dotyczy kwestii fundamentalnej – postrzegania Zagłady i oceny stosunku społeczeństwa polskiego do uchodźców. Od razu spieszę dodać, że w książce jest sporo fragmentów wskazujących na ogromny szacunek Grossa zarówno do Michnika, jak i do Smolara i zapewne tym większe budzą one zdumienie, gdy wymienieni nie podzielają poglądów, które dla Grossa są oczywiste.

No, ale zacznijmy od początku, czyli od chwili, gdy w Polsce właściwie nikt tak naprawdę Zagładą się nie interesował. Również Jan Tomasz Gross i jego rodzina, który na pytanie, czy w domu rozmawiało się o Holokauście, odpowiada: „O wojnie rozmawiało się u mnie w domu bardzo często. Ale o Zagładzie – co zdumiewające – nigdy. I co ciekawe, ten temat był nieobecny nie tylko w moim domu, ale również w naszych rozmowach z przyjaciółmi, z których wielu było przecież Żydami" (s. 27). Chyba nie będzie przesady w powiedzeniu, że było do doświadczenie typowe dla polskiej rodziny, niezależnie od tego, czy była to inteligencka rodzina warszawska o lewicowych poglądach, jak w przypadku Grossa, czy prowincjonalna rodzina robotniczo-chłopska o bliżej nieustalonych poglądach politycznych, ale za to gorliwie praktykowanej religii katolickiej, jak w przypadku mojej rodziny.

Pewnie wielu z nas może się podpisać pod stwierdzeniem Grossa: „W efekcie prawdy musiałem dochodzić sam po latach" (s. 46). Jak ta droga dochodzenia do niej wyglądała właśnie w przypadku Jana Tomasza Grossa, możemy się dowiedzieć, czytając uważnie nie tylko jego książki, lecz także wsłuchując w snutą przez niego opowieść. Dla wielu będzie ona dużym zaskoczeniem. Może zwłaszcza dla tych, którym się wydaje, tak jak mnie, że dobrze Grossa znają. Nie jest to po prostu prawdą. I dobrze się stało, że dał się namówić na tę rozmowę, bo teraz wiem o nim dużo więcej. Na przykład o jego studiach i rozumieniu humanistyki. Nie jest to sprawa błaha, biorąc pod uwagę fakt, że na recepcji jego książek zaciążyła właśnie etykietka „socjologa", któremu brak elementarnego warsztatu historycznego, stąd, jak twierdzą „prawdziwi historycy", jego ustalenia nie mogą być wiarygodne. Nie przywołuję tutaj bynajmniej ocen ludzi Grossowi wrogich, ale ludzi mu życzliwych, a nawet niektórych przyjaciół, albo przynajmniej tych, którzy się za takowych uważają.

Za emblematyczne w tym względzie uznać należy spotkanie, a właściwie osobliwy osąd nad *Sąsiadami* tuż po wydaniu tej książki w roku 2000. Doszło do niego w pracowni prof. Jerzego Jedlickiego w Instytucie Historii PAN na Starym Mieście w Warszawie. Do dzisiaj opowiada się legendy o tym spotkaniu, choć właściwie nikt spoza wąskiego grona bezpośrednich uczestników o nim nie pamięta i trudno znaleźć też o nim wzmiankę gdziekolwiek. Tymczasem rzecz jest

ważna, bo doszły wówczas do głosu stanowiska, które do dzisiaj są obecne w postrzeganiu osoby i dzieła Jana Tomasza Grossa. Oto jak je zapamiętał główny bohater: „Gdy w PAN-ie, w pracowni Jerzego Jedlickiego, odbyło się spotkanie, które właściwie rozpoczęło wielką debatę nad książką we wszystkich mediach w Polsce – dyskusja trwała kilka godzin, Alina Skibińska popłakała się, występując przed zgromadzonymi, Tomasz Strzembosz nie powiedział ani słowa, Tomasz Szarota obraził się śmiertelnie na Jedlickiego, a Jacka Żakowskiego zbeształ Marek Edelman i na dodatek obecny wówczas w sali historyk Jerzy Eisler w pewnej chwili oznajmił, że gdyby mu studentka przyniosła *Sąsiadów* jako pracę magisterską, to by ją oblał – ja nie zatrzęsłem portkami ze strachu" (s. 109). Szczególnie ciekawy jest komentarz prof. Jerzego Eislera, dodajmy autora wielu ważnych opracowań na temat okresu powojennego. W jego obszernym dorobku nie ma jednak nic na temat Holokaustu, co nie przeszkodziło mu wypowiedzieć się w sposób zdecydowany i autorytatywny na temat, który w zasadzie był mu obcy. Nie był w tym odosobniony, co późniejsze debaty i pseudo-debaty uświadamiają.

A teraz wróćmy do osławionego „warsztatu", który sprawił, że autor inkryminowanej książki „nie zatrząsł portkami ze strachu". W chwili publikacji *Sąsiadów* Gross był autorem dobrze znanym, ale przede wszystkim w USA. Wykładał już na kilku uniwersytetach socjologię i nauki polityczne i niebawem miał zacząć pracę właśnie jako historyk w Princeton. Świadczy to niewątpliwie o zróżnicowanym i elastycznym podejściu do humanistyki w amerykańskim świecie uniwersyteckim. Co jeszcze ciekawsze jednak, sam Gross jest przekonany, że naukę uprawiał zawsze w ten sam sposób, zarówno jeśli chodzi o metodologię, jak i o zakres tematyczny. Powiada: „Poczynając od doktoratu, pisałem głównie o doświadczeniach polskiego społeczeństwa podczas II wojny światowej". I niezależnie od stosowanej metodologii zależało mu na możliwie precyzyjnym uchwyceniu mechanizmów terroru, jakimi były poddawane społeczeństwa, czy to przez totalitaryzm sowiecki, czy nazistowski. Takie podejście oznaczało, że wcale nie musiał zmieniać dyscyplin naukowych. Dotyczyło to również podjęcia badań ściśle historycznych: „W rzeczywistości jednak donikąd się nie przeflancowywałem. Człowiek jest, kim jest, i powinien robić (jeśli ma trochę szczęścia) to, co do niego należy. A jak to ludzie będą nazywać, to w dużej mierze kwestia przypadku i nie ma tak naprawdę większego znaczenia" (s. 102–103). Nie muszę dodawać, że w Polsce takie podejście do historii jest raczej rzadkie, stąd zapewne sprzeciw niektórych historyków przywykłych do wąskiej specjalizacji.

Sądzę, że zawężanie przedmiotu studiów jest chorobą, której ulegają nie tylko historycy piszący o XX w. Mnie samemu się to zdarzyło wiele lat temu, gdy zajmowałem się historią jezuitów polskich w XVI i XVII w. Po wieloletnim ślęczeniu w archiwach zakonnych, również w Rzymie, byłem przekonany, że o badanym okresie wiem wystarczająco dużo, by na jego temat wypowiadać się w sposób jeśli nie autorytatywny, to na pewno kompetentny. Tymczasem w latach dziewięćdziesiątych minionego wieku na dyskusji o mojej książce habilitacyjnej

poświęconej jezuitom jeden z uczestników, zmarły niedawno prof. Zbigniew Ogonowski, zadał mi następujące pytanie: „Jak to możliwe, że w książce poświęconej jezuitom tak mało miejsca poświęcił pan braciom polskim i w ogóle socynianizmowi, przecież to był dla jezuitów główny przeciwnik?". Dzięki temu zainteresowałem się właśnie socynianizmem i nie mogłem mieć w tych zainteresowaniach lepszego przewodnika niż uczonego, który zadał mi to kłopotliwe pytania. W taki oto sposób uświadomiłem sobie, że owszem, jezuici to ważny fragment polskiej historii, ale jednak tylko fragment. Morał jest prosty, można być uznanym specjalistą w danym zakresie wiedzy i jednocześnie pozostawać całkowicie ślepym na takie wymiary rzeczywistości, które dla innych są znaczenie istotniejsze niż nasza, z takim wysiłkiem uprawiana działka. I jeszcze jedno, moja wiedza na temat jezuitów czy katolicyzmu nie tylko nie doznała po tym odkryciu uszczerbku, ale została wpisana w szerszy fascynujący kontekst ścierania się różnych narracji religijnych, wysoce zideologizowanych, bo wyznaczonych przez znaną zasadę *cuius regio eius religio*, dla której religia wcale nie stanowiła najważniejszego odniesienia.

Kwestia miejsca Zagłady w historii XX w. jest jednak czymś znacznie poważniejszym niż tylko poszerzanie własnych zainteresowań badawczych czy uzupełnianie detali historycznych. W gruncie rzeczy ona na nowo definiuje nasze rozumienie nie tylko historii drugiej wojny światowej, lecz także przeszłości chrześcijańskiej Europy w ogóle. Dla wielu stało się to jasne już w trakcie trwania Zagłady europejskich Żydów i zaraz po zakończeniu wojny podjęto wiele inicjatyw badawczych i edukacyjnych mających na celu wpisanie Holokaustu w ogólną świadomość społeczeństw szczególnie dotkniętych tym doświadczeniem. Wystarczy wspomnieć działania francuskiego historyka Julesa Isaaca i współorganizowaną przez niego konferencję w szwajcarskim Seelisbergu w 1947 r., która ostatecznie przyczyniła się do zmiany stosunku Kościołów chrześcijańskich do Żydów i judaizmu.

Nowa świadomość z trudem jednak przedzierała się do Polski i to nie tylko z powodu żelaznej kurtyny. Ja sam należę do pokolenia polskich katolików, którzy byli wychowywani w zupełnej nieświadomości tych zmian. Poświęcam tej sprawie sporo miejsca w mojej książce *Polak katolik*, w której użyłem pojęcia „anonimowy antysemityzm" na określenie właśnie takiej niezawinionej ignorancji wobec głębokich przemian w samym katolicyzmie[2]. Zresztą stosunek polskiego katolicyzmu do Zagłady to temat zasługujący na oddzielne obszerne potraktowanie. W kontekście rozważań nad mechanizmami funkcjonowania pamięci warto się chyba odwoływać również do własnej pamięci, a zwłaszcza do momentów, które zadecydowały o zmianie naszego postrzegania tego wydarzenia. Sam chętnie przywołuję doświadczenie, które dla mnie miało charakter iluminacji. Znowu dzięki zadanemu pytaniu, które w kuluarach wielkiej konferencji w 2000 r. w Szwecji w Sztokholmie jeden z uczestników (Miles Lerman, jeden

[2] Stanisław Obirek, *Polak katolik?*, Stare Groszki: Wydawnictwo CiS, 2015, s. 283.

z twórców powstałego kilka lat później Muzeum w Bełżcu) podszedł do mnie i zapytał, czy to prawda, co mówiłem w czasie debaty, że choć urodziłem się niedaleko obozu śmierci polskich Żydów (chodziło właśnie o Bełżec), naprawdę nic o tym nie wiedziałem aż do 18. roku życia. Było to pytania pełne życzliwości i wyrażające prawdziwą potrzebę rozumienia. Nie daje mi ono spokoju do dzisiaj.

Mój przyjaciel, wspomniany już Staszek Musiał, opowiedział podobną historię dziennikarzom pytającym go, jak to się stało, że zainteresował się Zagładą (był jednym z nielicznych wówczas księży katolickich w Polsce zajmujących się tym tematem). Otóż historia ta przydarzyła mu się w 1985 r., gdy w redakcji „Tygodnika Powszechnego" zjawił się belgijski dziennikarz i historyk Bernard Suchecky, którego żydowska rodzina pochodziła z Polski. Chodziło o sprawę klasztoru mającego powstać na terenie byłego obozu koncentracyjnego Auschwitz. Musiał, podobnie jak prawie wszyscy polscy katolicy, nie bardzo rozumiał problemy Żydów z tym klasztorem. Jak wiadomo, później właśnie ksiądz Musiał stał się jedną z twarzy tego sporu. Jest on dobrze opisany i nie ma potrzeby do niego wracać, ale warto przywołać sposób, w jaki mój przyjaciel sam na początku na to patrzył: „Wtedy, w wigilię Bożego Narodzenia 1985 r., polski ksiądz taki jak ja niewiele jeszcze wiedział o istocie problemu. Nic dziwnego, że polski ksiądz i belgijski dziennikarz pochodzenia polsko-żydowskiego właściwie nie mogli dojść do żadnej konkluzji"[3]. Już wtedy przyjaźniliśmy się ze Staszkiem Musiałem i przez wiele lat byłem świadkiem tego, jak nie tylko w polskim Kościele katolickim, lecz także w najbliższym gronie współbraci zakonnych nie mógł się przebić z wiedzą zdobytą z takim mozołem w rozmowach ze wspomnianym dziennikarzem i dzięki samodzielnym, rzetelnym studiom.

Temat Kościoła katolickiego pojawia się rzadko i to raczej jako temat uboczny w rozmowach Jana Tomasza Grossa z Aleksandrą Pawlicką, co mnie specjalnie nie dziwi, ponieważ nie jest to temat, którym Gross się zajmuje. Kościół przewija się jako część problemu, przedstawiciele tej instytucji utrudniają bowiem przepracowanie traumy Zagłady w Polsce. Nim jednak powiem słów kilka o Kościele, wróćmy do przyjaciół, bo to nieoczekiwanie właśnie z ich strony pojawiły się trudności i to prawie dokładnie w tym czasie, kiedy Stanisław Musiał zaczął się zmagać z oporem swego własnego środowiska. Chodzi mianowicie o wykład wygłoszony w Oksfordzie w 1984 r., a później artykuł *Ten jest z ojczyzny mojej…, ale go nie lubię*, opublikowany w „Aneksie" w 1986 r., a więc rok przed słynnym esejem Jana Błońskiego *Biedni Polacy patrzą na getto*, który ukazał się w „Tygodniku Powszechnym". Tekst Grossa bardzo oburzył jego przyjaciół, którzy przez ówczesnego redaktora „Aneksu" Aleksandra Smolara zostali poproszeni o napisanie komentarza: Władysława Bartoszewskiego, Jacka Kuronia i Jana Józefa Lipskiego. Każdy z nich nie tylko odmówił, ale ostro, a nawet obraźliwie skomentował artykuł młodszego kolegi. Były to osobliwe zarzuty i dzisiaj nie

[3] Witold Bereś, Krzysztof Brunetko, *Duchowny niepokorny. Rozmowy z księdzem Stanisławem Musiałem*, Warszawa: Świat Książki, 2006, s. 88.

można ich czytać bez zażenowania, tym bardziej że każdy z nich zrobił wiele, by pomóc nieżydowskim Polakom zrozumieć tragedię żydowskich Polaków.

Kuroń Grossa ocenił następująco: „On napisał po prostu paszkwil antypolski… Ja nic teraz pisać na ten temat nie będę" (s. 130). Bartoszewski zaś zareagował tak: „Sytuacja jest więc kłopotliwa, gdyż komuś, komu dobrze życzę, mógłbym w tej szczególnej sprawie życzyć tylko, aby takiego tekstu aroganckо-demagogicznego nigdy nie napisał był" (s. 131). Lipski natomiast zgadzał się z jednym i drugim, dodał tylko, że „każdemu może odbić" (s. 132). Smolar wprawdzie w końcu tekst opublikował, ale opatrzył go należytym komentarzem, by uczynić go choć trochę zjadliwym. Wszystko na nic. Zrezygnowany Gross skonstatował: „Mój tekst był dla tych wspaniałych ludzi niejadalny" (s. 132). Dla wielu zresztą taki pozostał do dzisiaj. Chociaż był wyjątek – Józef Czapski, który napisał do Grossa po przeczytaniu tekstu: „Dopiero teraz przeczytałem Pana tekst *Ten jest z ojczyzny mojej…, ale…* Nie będę Panu mówić, jakie ten tekst zrobił na mnie wrażenie i długo się zastanawiałem, na czym polega to, co w tym tekście podziwiam" (s. 135). Adresat treść listu poznał wskutek zawirowań korespondencyjnych po 30 latach. Dla takich listów warto takie teksty pisać i warto czekać, nawet długo…

Spory najważniejsze, ogólnonarodowe, by tak rzec, są ciągle jeszcze przed nami. Wywołała je maleńka książeczka, o której była już mowa, *Sąsiedzi*, opublikowana w prowincjonalnym wydawnictwie. Publikacja zaledwie 100-stronicowa, będąca właściwie oszczędnym komentarzem do doskonale historykom znanej relacji jednego z nielicznych świadków całopalenia Żydów z Jedwabnego. Dokonało się 10 lipca 1941 r. Jak to możliwe, że ta książeczka stała się prawdziwą bombą, która zawładnęła wyobraźnią Polaków przez kilka lat. Echa tego wybuchu są zresztą żywe do dziś. Niektórzy mówią, że Polska po opublikowaniu *Sąsiadów* się zmieniła. Mnie też się tak wydaje. A jednak szansa ogólnonarodowej odnowy została zaprzepaszczona. Dlaczego?

Gross daje jednoznaczną odpowiedź – to wina Kościoła. Niechętnie, ale się z nim zgadzam. Niechętnie, gdyż w 2000 r. byłem częścią tej instytucji, organizowałem nawet spotkania z udziałem przedstawicieli różnych środowisk i liczyłem, że się dogadamy, a w każdym razie, że będziemy różnić się zgodnie z zaleceniem Norwida, czyli pięknie. Myliłem się. Dlatego dzisiaj podpisuję się pod diagnozą Jana Tomasza Grossa, który obwinia właśnie Kościół za bojkotowanie możliwego wtedy porozumienia. To właśnie ta instytucja zawiodła na całej linii i to tam, w oku cyklonu, tam, gdzie dokonała się najokrutniejsza z możliwych zbrodni, tam, gdzie w 2001 r., w rocznicę spalenia jedwabieńskich Żydów spotkali się prezydent Polski Aleksander Kwaśniewski, ambasador Izraela Szewach Weiss i pochodzący z Jedwabnego rabin Jacob Baker. Zabrakło miejscowych katolików, proboszcza Edwarda Orłowskiego, nie było też biskupa Stanisława Stefanka. Wymieniam te konkretne nazwiska, bo być może, gdyby to był inny proboszcz i inny biskup, inaczej zapamiętalibyśmy to pierwsze upamiętnienie zbrodni dokonanej przez nieżydowskich sąsiadów na żydowskich sąsiadach.

Gross powiada: „Wszystko odbyło się przy totalnej nieobecności mieszkańców, bo tak zadysponował miejscowy proboszcz. Miasteczko pozostało za zamkniętymi oknami swoich domów, za zaciągniętymi firankami, które tylko gdzieniegdzie uchylały się, gdy przejeżdżaliśmy autobusami, w policyjnej obstawie, jak jakaś inwazja. Lokalna władze i przede wszystkim Kościół nie zdały egzaminu. Gdzie był proboszcz Jedwabnego? Gdzie był lokalny biskup? Gdzie w ogóle był wtedy Episkopat?" (s. 160). Te pytania są skierowane również do mnie. Wtedy, w 2001 r., byłem jezuitą i dzięki Staszkowi Musiołowi zdawałem już sobie sprawę z wagi tego wydarzenia, a jednak się tam nie znalazłem. Był tylko ks. Adam Boniecki i ks. Wojciech Lemański. Trudno ich uznać za reprezentatywnych przedstawicieli tej instytucji. Wprost przeciwnie obaj byli i są nadal marginalizowani.

Jako Kościół zawiedliśmy już wtedy, a dzisiaj, pod koniec drugiej dekady XXI stulecia, ta instytucja nie tylko nie robi nic, by przepracować swoją przeszłość, ale wypracowuje nową, alternatywną narrację, w której katolicy są przedstawiani jako męczennicy niosący pomoc swoim żydowskim sąsiadom. Liderem tej nowej narracji jest nie tylko znany ze swych antysemickich poglądów toruński redemptorysta Tadeusz Rydzyk, lecz także obecny rzecznik episkopatu ks. Paweł Rytel-Andrianik. Ich poczynania są wspierane hojną ręką przez polski rząd, który próbuje też środkami ustawodawczymi wpływać na kierunek badań historycznych. Na razie te wysiłki przynoszą skutki przeciwne do zamierzonych, a jednak nie prowadzą do rezygnacji ze skazanych na niepowodzenie prób manipulowania, a nawet fałszowania historii. Dlaczego? Odpowiedzi dostarcza zjawisko „niemożności uwewnętrznienia" Holokaustu. To wyjaśnienie pada w innym kontekście, gdy dziennikarka pyta, dlaczego nikt nie sięga po prawdę o historii, jaka się dokonała na polskiej ziemi. Chodzi o prawdę „leżącą w zasięgu ręki", bo wszyscy przecież wiedzą, jak było.

To zjawisko dotyczy również najbliższych Grossa, w tym jego ukochanej matki, której poświęca on wiele ciepłych słów w tym wywiadzie rzece. Wydaje się, że to ważny trop pozwalający zrozumieć, dlaczego jako społeczeństwo, bo przecież nie tylko instytucjonalny Kościół katolicki, robimy wszystko, by nie pamiętać. Otóż mówiąc o swojej matce i swoim środowisku, Gross powiada tak: „Ona nie przemilczała tej zbrodni dlatego, że nie chciała mówić, czy próbowała zapomnieć, zagłuszyć w sobie jakąś prawdę, ale prawdopodobnie dlatego, że jak cała formacja otwartogłowej polskiej inteligencji – tak jak Bartoszewski, Lipski, Wyka, Andrzejewski czy Ossowski na przykład – była dotknięta niemożnością uwewnętrznienia sobie tego zjawiska" (s. 176). Być może ten mechanizm uniemożliwiający przyjęcie pewnych faktów z przeszłości jako części własnej pamięci jest zjawiskiem uniwersalnym. Każdy z nas powinien sobie z tego zdawać sprawę. Być może w tym procesie psychologicznym – zdawania sobie sprawy – skrywa się możliwość przezwyciężenia istniejących problemów z akceptacją Zagłady jako zjawiska społecznego dotykającego nas wszystkim, choć w różnym stopniu. Dotyczy to zresztą również samego Grossa.

Otóż, moim zdaniem, jednym z najbardziej poruszających fragmentów omawianej książki jest przywołana rozmowa z córką bohatera w Warszawie 22 lipca na początku drugiej dekady XXI w. Jest to scena aż do bólu prawdziwa, gdyż uzmysławia nam, że potrzebujemy kogoś z zewnątrz, by nam uświadomił, jak bardzo nasze postrzeganie rzeczywistości jest ograniczone. Przywołam tę scenę, zachęcając przy okazji do przeczytania całej książki, gdyż tylko lektura całości umożliwia odkrycie mechanizmu „odpominania" tego, co wcale nie jest utracone bezpowrotnie: „«W Polsce celebruje się martyrologiczne rocznice – mówi moje dziecko. – Popatrz, ile jest wszędzie na temat powstania warszawskiego, więc jak to jest możliwe, żeby ani słowem nie była wspomniana rocznica wywózki Żydów?». Poczułem się jak kompletny idiota, bo przecież jestem warszawiakiem i od kiedy mieszkam za granicą, bywam w moim rodzinnym mieście dość regularnie latem. I nigdy nie zwróciłem uwagi, że nikogo nic nie obchodzi ta rocznica" (s. 212). Od tamtej rozmowy minęło kilka lat i w chwili obecnej każdego roku 22 lipca w marszu upamiętniającym wywózkę warszawskich Żydów do obozu śmierci w Treblince bierze udział kilka tysięcy osób. Tak więc „poczucie się kompletnym idiotą" może być początkiem działań, które zmieniają nie tylko dotkniętego kłopotliwym odczuciem, ale i innych, czasem całe miasto. W tym wypadku Warszawę, która sobie „przypomniała" o tragedii swoich żydowskich mieszkańców i coraz liczniej bierze udział we wspomnianym marszu. Ja też.

I na koniec słów kilka o mechanizmach pamiętania i zapominania, bo przecież ich w gruncie rzeczy dotyczą autobiograficzne rozważania Jana Tomasza Grossa. Lektura tej książki uzmysławia po raz kolejny, że nasza pamięć, odwołująca się do przeszłości, jest strukturą delikatną i podatną na różne wpływy, z których nie wszystkie są w pełnie uświadamiane. Dotyczy to zarówno pamięci indywidualnej, jak i zbiorowej. Poszczególne nauki humanistyczne są uwikłane w strategie budowania własnego warsztatu badawczego, który wyznacza ostateczny kształt pamięci. Można wręcz powiedzieć, że ich istotą jest selektywne czerpanie z przeszłości. Nie ma w tym nic dziwnego, ale proces budowania własnej tożsamości staje się problematyczny z chwilą, gdy jego uczestnicy absolutyzują własne metody i wyniki, do jakich dochodzą, i jednocześnie odmawiają legitymizacji podobnym procedurom, które odwołują się do innych danych i odmiennych metod badawczych. W pewnym sensie to właśnie wskutek takich praktyk porozumienie przedstawicieli poszczególnych dyscyplin naukowych staje się coraz trudniejsze lub wręcz niemożliwe. Przypadek recepcji książek Grossa w Polsce jest dobrą ilustracją tego problemu.

Na szczęście jednak w ostatnich latach pojawia się coraz więcej prób przezwyciężenia polaryzującego wpływu przeszłości na ludzką pamięć, którym warto się bacznie przyglądać, by w ich świetle wyraźniej dostrzec granice, a nawet niebezpieczeństwa związane z nadmiernym akcentowaniem jednego punktu widzenia. Do prób tych zaliczyłbym książki francuskiego historyka Daniela Beauvois, który zwraca uwagę na kolonialne dziedzictwo Rzeczypospolitej Obojga Narodów na Kresach Wschodnich. Recepcję tych publikacji w Polsce utrudnia

głęboko zakorzenione przeświadczenie, że tereny te należy wiązać z misją cywilizacyjną Polski, a nie z historią dominacji i uciemiężenia mniejszości narodowych, zwłaszcza Ukraińców. Beauvois pisze o tym w przedmowie do trzeciego wydania swojej książki *Trójkąt ukraiński. Szlachta, carat i lud na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie 1793–1914*[4]. Inną, mniej znaną, ale równie istotną próbą zaradzenia wpływowi przeszłości na pamięć są książki krakowskiej slawistki Marii Bobrownickiej. W jednej z nich, zatytułowanej *Narkotyk mitu. Szkice o świadomości narodowej i kulturowej Słowian Zachodnich i Południowych*, Bobrownicka pokazuje, jak bardzo również w Europie Środkowej i Wschodniej nacjonalistyczne emocje zdominowały kultury poszczególnych krajów słowiańskich, w tym Polski. Spuścizna romantyczna, a zwłaszcza literatura polskich wieszczów, nie tylko pełniła funkcję pocieszania, lecz także tworzyła niebezpieczne iluzje wyjątkowości i mesjańskich misji w stosunku do całego świata[5].

Moje uwagi chciałbym zakończyć optymistycznie, odwołując się do ustaleń Michaela Rothberga, który w książce *Pamięć wielokierunkowa* analizuje zróżnicowane formy pamięci i przeciwpamięci, powstające dzięki działalności różnych grup społeczeństwa obywatelskiego. Rothberg zwraca też uwagę na teksty obecne w przestrzeni publicznej, które burzą nazbyt jednolite i niepozbawione moralizującego charakteru formy pamięci wytwarzane przez instytucje państwowe. Moim zdaniem proponowana przez niego teoria pamięci wielokierunkowej może pomóc w przywróceniu podmiotowości grupom mniejszościowym z jednej strony i umniejsza hegemoniczne roszczenia kultur hegemonicznych[6]. Podobną funkcję w polskiej przestrzeni publicznej pełnią teksty Jana Tomasza Grossa i za to powinniśmy być mu wdzięczni.

BIBLIOGRAFIA

Beauvois Daniel, *Trójkąt ukraiński. Szlachta, carat i lud na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie 1793–1914*, tłum. Krzysztof Rutkowski, Lublin: Wydawnictwo UMCS, 2016.

Bereś Witold, Brunetko Krzysztof, *Duchowny niepokorny. Rozmowy z księdzem Stanisławem Musiałem*, Warszawa: Świat Książki, 2006.

Bobrownicka Maria, *Narkotyk mitu. Szkice o świadomości narodowej i kulturowej Słowian Zachodnich i Południowych*, Kraków: Universitas, 1995.

Gross Jan Tomasz, Pawlicka Aleksandra, *...bardzo dawno temu, mniej więcej w zeszły piątek...*, Warszawa: Grupa Wydawnicza Foksal, W.A.B., 2018.

Obirek Stanisław, *Polak katolik?*, Stare Groszki: Wydawnictwo CiS, 2015.

Rothberg Michael, *Pamięć wielokierunkowa. Pamiętanie Zagłady w epoce dekolonizacji*, tłum. Katarzyna Bojarska, Warszawa: IBL, 2015.

[4] Daniel Beauvois, *Trójkąt ukraiński. Szlachta, carat i lud na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie 1793–1914*, tłum. Krzysztof Rutkowski, Lublin: Wydawnictwo UMCS, 2016.

[5] Maria Bobrownicka, *Narkotyk mitu. Szkice o świadomości narodowej i kulturowej Słowian Zachodnich i Południowych*, Kraków: Universitas, 1995.

[6] Michael Rothberg, *Pamięć wielokierunkowa. Pamiętanie Zagłady w epoce dekolonizacji*, tłum. Katarzyna Bojarska, Warszawa: IBL, 2015.